

TYMON Z ATEN.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

W. Szekspira.

Zacniemy od najkrótszej treści: Tymon jeden z najznakomitszych Ateńczyków, tak ze względu zasług położonych dla dobra ojczyzny na wojnie, jak i z olbrzymiego majątku, oddanego na usługi wszystkich bez wyjątku, traci skutkiem nieumiarkowanej, i niczem nie chcącój się powstrzymać rozrzutności, całą fortunę. Udaje się przeto ufny w dobroć, szlachetność i przyjaźń, do swych przyjaciół, których miał tytu w dniach szczęścia, ale ci mają dla niego zamknięte drzwi i serca. Oburzony i wściekły, zaprasza ich na ucztę ostatnią, na której pryska im w twarz ciepłą wodą, przyniesioną w przykrytych naczyniach, a potem rzucając za nimi półmiskami, wyrzuca ich precz ze swego domu. Sam zaś pełen rozpacz, zwątpienia i rozczarowania, przeklinając ludzkość całą, obiera sobie las dziki za mieszkanie. Nadarmo go proszą Ateny, Alcybiades, fałszywi i prawdziwi przyjaciele, wierny sługa Flawiusz, ażeby ztamtąd powrócił i przyjął godność najwyższą. I tu jeszcze w puszczy, przekonywa się z coraz wzrastającą goryczą, o zepsuciu i przewrotności ludzi, którzy na wieść o odkrytych przez niego skarbach, przychodzą łąsić mu się do stóp, i nikczemnie pełzać. Tymon obsypuje złotem złoczyńców i nierządnicę, z tym atoli warunkiem, żeby przeklęte ludzkie plemię demoralizowali, niszczyli, wycieńczali, doprowadzali do najgłębszego upadku i zgnilizny.

Ideą zasadniczą tej głębokiej tragedyi, (w wielu scenach pokrewnęj z Hamletem), jest okazanie, że miłość ludzi

pojęta jednostronnie, prowadzi ostatecznie do ogólnej ich nienawiści, bo nieumiejąc znaleźć różnicy, bierze zbiór wielu ludzi, za ludzkość całą. Nie można kochać wszystkich bezwarunkowo, pod karą pominięcia świętszych i bliższych węzłów jako: małżeńskich, rodzicielskich, ściślejszej przyjaźni, i obywatelskich nareszcie i miłości ojczyzny. Kto tak jak Tymon wszystkich kocha, ten nikogo nie kocha, a gdy ktoś w zamian za to hojnie rozdawnictwo miłości, udarowany wciąż bałwochwalczą chwilową, nagle zawiedziony zostaje, wtedy tak jak Tymon zbrzydzi sobie ludzkość całą, i stanie się nieuleczonym mizantropem.

Co do źródła inwencyjnego tej tragedyi, niewiadomo czy go Szekspir wynalazł w Northa tłumaczeniu angielskiem Plutarcha, czy też w dawniejszym jeszcze Paytnera: „Palace of Pleasure” gdzie również historia Tymona znajduje się spisana; to tylko wiadomo na pewno, że napisaną została po r. 1605, czyli wtedy gdy już poeta miał 41 lat. Wiek to dojrzałości, i całej pełni doświadczenia.

Nazwisko Tymona weszło w starożytności w przysłowie, gdy chodziło o oznaczenie mizantropa. Prawdopodobnie uderzył Szekspira ten ustęp z Plutarcha, i poddał mu ideę:

„Tymon był obywatelem ateńskim, żyjącym w czasach wojny peloponezkiej, jak o tém sądzić można z komedyi Platonu i Arystofanesa, gdzie jest wysmiany jako złośliwy nieprzyjaciel rodu ludzkiego, brzydzący się wszelkiem obcowaniem z ludźmi, z wyjątkiem młodego i dzielnego Alcybiadesa, którego pieścił, całował i gościł. Dziwił się temu Apemantus i pytał go, dlaczego tego jednego tylko młodzieńca kocha a innych nienawidzi? „Kocham go dlatego — odrzekł tenże — bo wiem że kiedyś będzie on przyczyną wielkich nieszczęść dla Aten.” Tymon znosił też czasem w swoim towarzystwie Apemanta, może dlatego że był mu podobnym w obyczajach, lub że bardzo naśladował jego sposób życia. Pewnego też dnia, gdy obchodzono w Atenach „święto umarłych” podczas którego sprawiają ofiary za tychże, ugaszczali się obadwaj sami, a Apemantus rzekł: „To mi piękna uczta Tymonie!” Tymon odpowiedział: „Tak, gdyby ciebie przy mięt nie było”.

Opowiadają, że jednego razu gdy się lud zgromadził na placu dla narady, Tymon wszedł na trybunę, jak to zwykli byli czynić mówcy odzywający się do ludu. Uciszyło się, bo każdy ciekaw był co powie; dziwną i rzadką to albowiem było rzeczą, widzieć go na mównicy. Nareszcie zaczął mówić. „Ateńczycy, mam w moim domu malutkie miejsce, gdzie rośnie drzewo figowe, na którym wielu się już powiesiło i udusiło, a ponieważ chcę tam budować, więc ostrzegam was że drzewo ściąć każe. Kto się powiesić chce, niech pospieszy!”

Pogrzebanym został nad brzegiem morza.

Rozwinięcie charakterów Tymona i Apemanta, nadanie tragicznego kolorytu całości, to już genialne właściwości Szekspira. Sztuka też ta, najprostszą jest ze wszystkich w swym układzie, jedność planu zachowana bez zbaczania na inne, odrębne przedmioty. Cynizm i sarkazm, któremi przepełniona tragedia dały powód komentarzom, uważania jęj raczej za satyrę aniżeli za dramat. Przyznać trzeba, że wybór charakterów, nazwać się istotnie może prawdziwą krytyką ludzkiego serca, w człowieku wszelakiego stanu i professyi, począwszy od senatorów aż do poety i malarza, zbezczeszczających szczytne swe powołanie. Na zagodzenie bolesnego wrażenia, wywartego nienawiścią bohatera, stworzył poeta takiego Flawiusza, przedstawiciela zacności i szlachetności natury ludzkiej. Jestto ustępstwo ze strony poety, ale spodziewać się go należało po poecie ludzkości.

Tymona z Aten, granego na scenie londyńskiej, przeobraził Cumberland, jeden ze znanych autorów dramatycznych angielskich. W roku 1723 Delisle wziął przedmiot z Tymona, i przygotował go dla teatru włoskiego z prologiem, śpiewami, tańcami, figurami allegorycznymi i arlekinem. Ze scen niemieckich, znany był tylko podobno w Burgteatrze wiedeńskim i w Berlinie. W polskim języku nie było dotąd przekładu tej tragedyi; podjęliśmy się go zachowując, ile możności dykcją dramatyczną, a zamieniając wiersz biały na prozę, odpowiedniejszą może produkcji scenicznej.

E. L.

OSOBY.

TYMON obywatel ateński.

LUCYUSZ	}	jego przyjaciele.
LUCULLUS		
SEMPRONIUSZ		
WENTIDYUSZ		

APEMANTUS filozof.

ALCYBIADES wódz.

FLAMINIUSZ	}	słudzy Tymona.
LUCILIUSZ		
SERWILIUSZ		

CAPHIS	}	słudzy wierzycieli Tymona.
FILOTUS		
TYTUS		
LUCYUSZ		
HORTENSYUSZ		

Dwóch służących Warrusa.

Służący Izydora.

Kupido i inne maski. Dwóch cudzoziemców.

Poeta, malarz, kupiec i jubiler, stary Ateńczyk, paź i błazen.

Frynia i Tymandra, kochanki Alcybiadesa.

Senatorowie, wodzowie, wojownicy, złodzieje, orszak.

(Rzecz dzieje się w Atenach i w pobliskim lesie).

AKT I.

SCENA I.

Ateny.—Przedcień w Tymona domu.

POETA I MALARZ.

Poeta.

Dzień dobry!

Malarz.

Ciesz się mnie, że was widzę w dobrém zdrowiu.

Poeta.

Nie widziałem was dawno. Cóż tam świat?

Malarz.

Zużywa się starzejąc.

Poeta.

To wiadome, lecz czy wydarzyło się co szczególnego, coś nadzwyczajnego, czego jeszcze nie było w historii? O uroku bogactwa! Twój to czar wywołuje wszystkie te duchy. Znam tego kupca.

Malarz.

A ja znam obydwóch: ten drugi jest złotnikiem.

Kupiec.

To godny pan!

Złotnik.

Nie ulega wątpliwości.

Kupiec.

Mąż nieporównany, rzec można niez mordowany w swój dobroci, wzór do naśladowania.

Złotnik.

Mam tutaj brylant.

Kupiec.

Proszę pokazać, to pewnie dla wielmożnego Tymona?

Złotnik.

Jeżeli cenę zapłaci, lecz co się tyczy tego..

Poeta.

(recytując) „Gdy się dla zysku pochwalilo niegodnego, plami to świetność pięknych wierszy, których kunszt poświęcony szlachetnym”.

Kupiec.

(oglądając brylant) Ślicznie szlifowany!

Złotnik.

I kosztowny, jakiej wody!

Malarz.

Jesteś pan zadumany, zapewne nad dziełem które ofiarujesz wielkiemu Tymonowi?

Poeta.

Poezya nasza płynie jak żywica z życiodajnego drzewa, ogień skrzy się w kamieniu gdy się go wykrzesze, tylko nasz szlachetny płomień zapala się sam przez się, i podobien strumieniowi, obala każdą przeszkodę. A co wy macie?

Malarz.

Obraz, panie. I kiedyż ukaże się wasza książka?

Poeta.

Zaraz gdy się sam przedstawię. Przypatrzmy się obrazowi.

Malarz.

Piękne dzieło!

Poeta.

(ogłędając obraz) W istocie doskonale!

Malarz.

Tak sobie, ujdzie.

Poeta.

Cudowne. Ileż wdzięku w téj postaci! ile rozumu błyszczy w tych oczach, jak żywa wyobraźnia karminuje te usta! Można by objaśnić każdy ruch niemy.

Malarz.

Dość szczęśliwe naśladownictwo życia. Ten rys podoba się panu?

Poeta.

Powtarzam że jest to lekcya dana naturze, to życie drgające pochwycone sztuką, które się przedziwsem wydaje od natury. (przechodzi kilku senatorów przez scenę).

Malarz.

Jakże rozrywany jest wielki Tymon!

Poeta.

Przez senatorów ateńskich. Szczęśliwy śmiertelnik!

Malarz.

Więcej jeszcze przybywa.

Poeta.

Przypatrz się pan temu natłokowi, tym falom odwiedzających. Co się mnie tyczy, zdołałem zaledwie naszkicować męża, któremu świat cały nie szczędzi uścisków i pieszczot; swobodny

mój geniusz nie zatrzymuje się nad szczegółkami, lecz żegluję dalej po szerokim morzu rytmów; złość, osobistość, nie zatrzyma ani jednej zgłoski mych wierszy, szybuję jak orzeł, zuchwały w mym locie, bez obłoków za sobą.

Malarz.

Chciałbym pana zrozumieć.

Poeta.

Wytłumaczę się. Uważaj pan, że wszystkie stany, wszystkie umysły (lekkie i poważne), przychodzą składać swe hołdy wielmożnemu Tymonowi. Olbrzymia jego fortuna, oraz charakter jego miły i wspaniały, podbijają mu wszystkie serca, gotowe kochać go silniej, i to począwszy od giętkiego pochlebcy którego twarz podobna zwierciadłu, aż do Apemanta, nienawidzącego samego siebie. On także zgina przed nim kolano, i odchodzi zadowolony, i uszczęśliwiony jednem spojrzeniem Tymona.

Malarz.

Widziałem ich rozmawiających.

Poeta.

Otóż przedstawiam jak Fortuna siedzi na tronie, na szczycie wzniosłego i wesołego pagórka. Powierzchnia jęj, pokryta jest talentami rozmaitego rodzaju, wszelkimi ludźmi, pracującymi dla polepszenia swego bytu. W pośrodku tego tłumu, zwracającego oczy na królową, umieściłem osobę z twarzą Tymona. Jemu to bogini daje znak alabastrową swą ręką, i z jęj to łaski przemieniają się wszyscy jego rywale, w pochlebców i poddanych mu niewolników.

Malarz.

Pysznie obmyślane: tron, pagórek, fortuna i ten jeden z pomiędzy wszystkich, wychylający swą głowę ponad spadzistą górę, spinający się ku swemu szczęściu. W ogóle godna scena malarskiego pęzła.

Poeta.

Być może, lecz pozwól mi pan dokończyć. Ci ludzie, niedawno jemu równi (niektórzy między nimi lepsi od niego) idą teraz trop w trop za nim, zapełniają portyki gromadnie, szepczą mu w ucho ubóstwiający pochlebstwa, uwielbiają strzemiona jego rumaka, zdając się oddychać jedynie z jego woli.

Malarz.

No i cóż dalej?

Poeta.

Gdy nagle, fortuna kapryśna i chwiejna, zepchnie swego niedawnego ulubieńca, wszyscy ci niewolnicy, którzy czolgając się za nim na kolanach i rękach, usiłowali się na szczyt wydrapać, nie wstrzymują lecącego, i ani jeden nie ulży mu w upadku.

Malarz.

To rzecz zwykła, mógłbym panu wskazać tysiące podobnych obrazów, malujących szczęścia szybką zmianę, żywięć od słowa. Lecz dobrze pan uczynisz, dawszy poznać Wielmożnemu Tymonowi, że oczy maluczki-h widziały go lecącego z góry.

(wchodzi Tymon z orszakiem, sługa Wentidiusza rozmawia z Tymonem).

Tymon.

Mówisz, że jest uwięziony?

Sługa (Wentidiusza).

Tak, zacny panie. Cały dług jego wynosi pięć talentów. Środki jego szczupłe, a wierzyciele nieublagani. Prosi o list Waszój Wielkości do tych co go uwięzili, inaczej straci nadzieję.

Tymon.

Szlachetny Wentidiusz! Dobrze. Nie umiem ja pozbywać się przyjaciół, gdy mnie najbardziej potrzebują. Charakter jego zasługuje na względy, będzie miał ratunek, bo ja płacę i wracam mu wolność.

Sługa.

Wasza Wielkość zobowiążesz go na wieki.

Tymon.

Pozdrów go odemnie, pošlę mu okup, a gdy będzie wolny powiedz mu niech mnie odwiedzi. Niedosyć bowiem podnieść słabego, trzeba go jeszcze podtrzymać później. Idź z Bogiem!

Sługa (Went.).

Wszelkiej szczęśliwości Wielmożnemu panu! *(wychodzi).*

(wchodzi starzec ateński).

Starzec.

Wielki Tymonie, posłuchaj mnie!

Tymon.

Mów, dobry ojcze.

Starzec.

Masz służącego, imieniem Luciliusz?

Tymon.

Tak, co chcesz od niego?

Starzec.

Szlachetny Tymonie, każ mu tu przyjść.

Tymon.

Czy jest tutaj Lucyliusz?

(wchodzi Lucyliusz).

Lucyliusz.

Jestem na twoje rozkazy panie.

Starzec.

Ten człek tu, szlachetny Tymonie, twój niewolnik, przychodzi do mnie często wieczór. Od młodości poświęciłem się interesom, a stan mój zasługuje na godniejszego zastępcę, aniżeli jest ten który obnosi półmiski.

Tymon.

Więc?

Starzec.

Mam tylko jedną córkę; żadnych krewnych, i jój zostawię majątek cały. Piękną jest dziewczyna, wieku stosownego na narzeczoną, a jój wychowanie kosztowało mnie drogo, bom nie szczędził na nauczycieli. On, twój sługa, prześladuje ją swą miłością, a więc szlachetny panie zabroń mu bywać w mym domu, bo na moje słowa nie zważał.

Tymon.

Ten młodzieniec uczciwym jest.

Starzec.

Niech więc będzie nim względem mnie... niechaj mu jego poczciwość wystarczy za nagrodę, bez wydzierania mi córki.

Tymon.

Ona go kocha?

Starzec.

Młoda jest i łatwowierna. Nasze zastygłe namiętności uczą nas, jak dalece młodość lekkomyślną bywa.

Tymon.

Kochasz tę młodą dziewczynę?

Lucyliusz.

Tak wielmożny panie, a ona mi wzajemną.

Starzec.

Nie dam pozwolenia na to małżeństwo... raczej wyszukam sobie dziedzica między żebrakami tego miasta, a ją wydziedziczę, przysięgam na bogi.

Tymon.

A jakież będzie jej posag, jeśli poślubi odpowiedniego sobie?

Starzec.

Teraz trzy talenta, później wszystko.

Tymon.

Dobry młodzian służy mi dawno, postaram się zapewnić jego szczęście; należy to do obowiązków człowieka. Oddaj mu córkę, co mu zaliczysz stanowić będzie miarę mych darów, tak iż ją wyrównam.

Starzec.

Szlachetny panie, daj na to rękę, a moja córka będzie jego żoną.

Tymon.

Oto moja ręka, a obietnicę poręczam honorem.

Luciliusz.

Składam ci pokorne dzięki Wielmożny panie, a jakikolwiek zyskam majątek, jakiekolwiek szczęście, zawdzięczę je tobie.

(Luciliusz i starzec wychodzą)

Poeta.

Przyjmij panie moją pracę, i żyj długo!

Tymon.

Dziękuję, wkrótce dowiesz się więcej: nie oddalaj się. A ty przyjacielu?

Malarz.

Mały obrazek, racz nie pogardzić nim.

Tymon.

Obraz mi się podoba. Malowidło jest jakby żywym człowiekiem, bo odtąd gdy nieuczciwość frymarczy uczuciami, człowiek jest nim tylko powierzchownie, postacie zaś wyszły z pod pędza są tym, czém się okazują... Podoba mi się twe dzieło, dam ci tego wprędce dowód; zaczekaj tu, dopóki cię nie poproszę.

Malarz.

Niechaj cię panie niebo wspiera!

Tymon.

Bądźcie zdrowi przyjaciele, podajcie mi ręce, razem dziś obiadujemy. Panie, twój brylant stracił na tém, że go za- nadto oszacowano.

Złotnik.

Jakto? czyżby mniej miał wartości?

Tymon.

Nie, tylko przesadzano w pochwalach, bo gdybym zapłacił to co wart, popadłbym w nędzę.

Złotnik.

Panie, szacunek jego taki jakby zapłacili sami sprzedający. Lecz wiadomo, że rzeczy jednakowej wartości zmieniają cenę w rękach właściciela, i to według wartości tegoż. Wierzaj mi drogi panie, gdy ty go nosić będziesz, stanie się piękniejszym.

Tymon.

Dobry żart.

Kupiec.

Nie, panie, to co wyrzekł, powtórzmy za nim wszyscy.

Tymon.

Któż to przychodzi? Chcecież być zelżeni?

(wchodzi Apemantus)

Złotnik.

Podzielimy się tém z Waszą Wielmożnością.

Kupiec.

On nie oszczędza nikogo.

Tymon.

Dzień dobry, rozkoszuy Apemancie!

Apemantus.

Zachowaj twoje dzień dobry aż będę rozkoszny, a wtedy będziesz psem Tymona, a ci oszuści uczciwymi.

Tymon.

Dlaczegoż ich nazywasz oszustami? wszak ich nie znasz?

Apemantus.

Czyż nie są Ateńczykami?

Tymon.

Tak!

Apemantus.

A więc się nie cofam.

Złotnik.

Znasz mnie Apemancie?

Apemantus.

Wiész dobrze że cię znam, nazwałem cię przecież po imieniu.

Tymon.

Bardzoś pyszny Apemancie!

Apemantus.

Pyszny przedewszystkiem z tego, że nie podobny do Tymona.

Tymon.

Gdzie idziesz?

Apemantus.

Łeb roztrzaskać uczciwemu Ateńczykowi.

Tymon.

Czyn ten opłacisz śmiercią.

Apemantus.

Tak, jeżeli *nie* robić na karę śmierci załuguje.

Tymon.

Jak ci się podoba ten portret Apemancie?

Apemantus.

Bardzo, bo jest niewinny,

Tymon.

Wszak ten co go zrobił, tego pracował?

Apemantus.

Ten co zrobił malarza, pracował jeszcze tężej, a przecież spłatał nędzne tylko dzieło.

Malarz.

Jesteś psem.

Apemantus.

Twoja matka z tego samego co ja rodzaju, czemu więc jest, jeśli ja jestem psem?

Tymon.

Apemancie, chcesz ze mną obiadować?

Apemantus.

Nie, nie jadam wielkich panów.

Tymon.

Gdybyś ich jadł, obraziłbyś damy.

Apemantus.

O! te jedzą wielkich panów i dlatego grubieją.

Tymon.

Nieprzyzwoite objaśnienie.

Apemantus.

Jeżeli je objaśniasz, weź je za fatygę.

Tymon.

Jak ci się podoba ten brylant?

Apemantus.

Nie tyle co szczerłość, która przecie nikogo nie kosztuje szeląga.

Tymon.

Jak myślisz, wiele wart?

Apemantus.

Nie wart mojej myśli. Cóż tam poeto?

Poeta.

Cóż tam filozofie?

Apemantus.

Kłamiesz.

Poeta.

Nie jesteś nim?

Apemantus.

Tak.

Poeta.

To nie kłamie.

Apemantus.

Nie jesteś poetą?

Poeta.

Tak.

Apemantus.

To kłamiesz, popatrz tylko w twoje napisane dzieło, gdzieś zmyślił, że on jest godnym mężem.

Poeta.

To nie jest zmyślone, ale rzeczywiste.

Apemantus.

Tak, on jest godnym ciebie ażeby ci za robotę zapłacić, kto lubi pochlebstwa, godzien jest pochlebcy. Nieba, czemuż nie jestem wielkim panem!

Tymon.

Cóżbyś uczynił Apemancie?

Apemantus.

To co teraz czyni Apemantus, nienawidziłbym wielkiego pana z całego serca.

Tymon.

Jakto? nienawidziłybyś samego siebie?

Apemantus.

Tak.

Tymon.

Dlaczego?

Apemantus.

Żem miał taki nędzny dowcip: zostać panem. Wszak jesteś kupcem?

Kupiec.

Tak.

Apemantus.

Oby cię handel zniszczył, jeśli tego nie sprawią bogowie.

Kupiec.

Jeśli to handel sprawi, to tak jak bogowie.

Apemantus.

Handel jest twym bogiem, więc nicch cię twój bóg zniszczy!

(Janfary, wchodzi sługa).

Tymon.

Cóż to za odgłos trąb?

Sługa.

Alcybiades z 20 towarzyszymi.

Tymon.

Wprowadź go tutaj. Musicie dziś zemną obiadować, nie odchodźcie aż wam podziękuję, po uczcie przypatrzę się obrazowi.

(Alcybiades z orszakiem)

Witam cię przyjacielu!

(ściskają się)

Apemantus.

Bodaj wam podagra wykrzywiła wasze giętkie członki. Ani krzty miłości u tych słodziutkich łotrów, i w tej powodzi grzechności! Ludzka rassa wyrodziła się w małpy i pawianów!

Alcybiades.

Widząc cię, zadawałniam zachwycony moją tęsknotę.

Tymon.

Pozdrawiam cię serdecznie, a zanim się rozstaniemy, złączmy nas godzina radości i zabawy. Proszę wejść.

(uszyscy wychodzą prócz Apemanta).

(Wchodzi dwóch panów).

Pierwszy.

Która godzina Apemancie?

Apemantus.

Godzina, w której trzeba być uczciwym.

Pierwszy.

Ta godzina jest zawsze.

Apemantus.

Więc tembardziej przeklęty jesteś, że ją zawsze zaniebdujesz.

Drugi.

Czy idziesz na ucztę Tymona?

Apemantus.

Tak, by ujrzyć jak się łotry karmią, a błazny winem poją.

Drugi.

Bądź zdrow, bądź zdrow!

Apemantus.

Głupcem być trzeba, by mi to mówić dwa razy.

Drugi.

Dlaczego Apemancie?

Apemantus.

Mógłbyś jedno zostawić dla siebie, bo ci nie myślę oddać drugiego.

Pierwszy.

Idź się powiesić.

Apemantus.

Nie uczynię tego. Wnoś twe petycje do twego przyjaciela.

Drugi.

Precz klótniwy psie, albo cię kopnę nogą.

Apemantus.

A ja jak pies ucieknę przed kopytem osła (*odchodzi*).

Pierwszy.

Ten człowiek, to czyste przeciwieństwo ludzkości. No i cóż, wejdziemy i my, uczestnicząc w wspaniałomyślności Tymona? Prawdziwie, że on lepszy od samój dobroci.

Drugi.

Rozprasza ją na wszystko, co go otacza. Plutus, bożek złota, jest tylko jego intendentem; najlżejszą przysługę płaci siedm razy drożej niż warta, najlichszy prezent odwzięcza innym przechodzącym granice zwykłej wdzięczności.

Pierwszy.

Dusza w nim szlachetniejsza od każdej, jaką kiedykolwiek obdarzon był śmiertelnik!

Drugi

Oby żył długo w pomyślności! Wejdziemy?

Pierwszy.

Idę z wami. (*wychodzą*).

SCENA II.

(Głośnie muzyka—oboje. Flaminiusz i inni słudzy obsługują przy bankiecie. Wchodzi: Tymon, Alcybiades, Luciusz, Lucullus, Semproniusz i inni senatorowie ateńscy z Wentydyszem i orszakami. W pewnej oddali, w tyle po za innymi, stoi Apemantus zachmurzony).

Wentydysz.

Wielce czcigodny Tymonie! podobalo się bogom przypomnieć sobie starość mego ojca, i powołać go na spoczynek. Opuścił to życie bez żalu, zostawiając mi bogactwa. Twe serce szlachetne zasługuje na mą wdzięczność, przychodzę więc oddać ci pożyczkę której zawdzięczam wolność, wraz z podziękowaniem i wyrazem mego przywiązania.

Tymon.

Przenigdy Wentydyszu, zacny mężu! Darowałem na zawsze. Kto odbiera, nie może powiedzieć że dał. Jeśli tak wielcy czynią, nie naśladujmy ich. W bogatych zawsze podobały się ich wady.

(*Wszyscy otoczyli z uszanowaniem Tymona.*)

Wentydysz.

Co za wzniosłe uczucia!

Tymon.

Komplementa wymyślono dla zakrycia przyjaźni, dla czcnych pozdrowień i dobrodziejstw, zanim się jeszcze spełniły, lecz prawdziwa przyjaźń bez tego się obejdzie. Siadajcie panowie, mili jesteście w nieszczęściu, aniżeli bogactwa (*siadają*).

Lucyusz.

Zawsześmy tak samo zeznawali.

Apemantus.

Zeznawali? i jeszcze nie wisicie?

Tymon.

Ha!—Apemancie, dobrze żeś przyszedł.

Apemantus.

Nie dobrze żeś przyszedł, chcę żebyś mnie wypędził.

Tymon.

Wstydź się, szorstki jesteś i pełen żartów nieprzystojnych. Zwykle mówią: „ira furor brevis est” lecz ty zawsze rozwście-

czony. Przystawcie mu osobny stolik, bo ani on nie szuka towarzystwa, ani towarzystwo jego.

Apemantus.

Zostanę więc na twą odpowiedzialność Tymonie. Przeszedłem, uprzedzam cię dla obserwacyi.

Tymon.

Nie zważam na ciebie, jesteś Ateńczykiem i dlatego u mnie pożądanym. Nie chciałbym tu nic rozkazywać, lecz prosiłbym cię ażebyś podczas uczty milczał.

Apemantus.

Gardzę twą uczcią... zdławiłaby mnie, bo nie umiem po-chlebiać. Bogowie! jakaż chmara pożera Tymona, a on jój nie widzi! Dręczy mnie, że tylu, chleb swój macza w jednego człeka krwi, a co gorzej, że sam ich jeszcze zachęca. Dziwi mnie, jak jeden drugiemu ufa, powinni by się zapraszać bez noży. Zyskałby na tem obiad, a więcej jeszcze zyskałoby ich życie. Zdarza się to często, że ten, który właśnie siedzi obok swego gospodarza, z nim chleb łamie i pije za jego zdrowie z jednego kielicha, pierwszy bywa w morderstwie. Gdybym był wielkim panem, bałbym się pić, ażeby moi goście nie wysledzili słabych stron mego gardła. Wielcy panowie nie powinni pić, nie mając pancerza na szyi.

Tymon (do jednego z biesiadników).

Z całego serca—i niech obejdzie kolej.

Pierwszy z panów.

Niech nam tutaj naleją, z téj strony.

Apemantus.

Z jego strony. To mi zuch. Umie skorzystać z chwili. Wszystkie te toasty Tymonie, przyprawią o chorobę ludzi i twą fortunę. Przypatrz się, uczciwa woda która jeszcze nikogo nie zepchnęła w błoto, najodpowiedniejsza mym potrawom. Uczty huczają za wspaniale, ażeby można bogom złożyć dzięk.

Apemanta gratias (akt łaski).

Wy bogowie, nie o złoto proszę was,
Za nikim nie błagam, tylko za mną.
Zezwólcie, iżbym nigdy tak głupi nie był
Ażeby zaufać ludzkim przysięgom i wierze.

Ani kobiecie gdy płacze,
Ani psu gdy chrapać się zdaje,
Ani klucznikowi w więzieniu,
Ani przyjaciółom w potrzebie
Amen. A więc

Bogaty grzeszy, a ty jedz korzenie.
I niechaj one służą twemu dobremu sercu Apemanciel
(*je i pije*).

Tymon.

Wodzu Alcybiadesie, myśl Twoja ściga w tej chwili pole bitwy.

Alcybiades.

Myśl moja zawsze na twe usługi, panie.

Tymon.

Wolałbyś jednak śniadać z wrogami, niż obiadować z przyjaciółmi.

Alcybiades.

Gdy świeżo zakrwawieni, żadna uczta im nie wyrówna, i takiéj uczty życzyłbym najlepszemu memu przyjacielowi.

Apemantus.

Kiedy tak, to chciałbym ażeby wszyscy ci pochlebcy byli twymi nieprzyjaciołmi, bo zabiwszy ich, zaprosiłbyś mnie potem.

Pierwszy z panów.

Gdy kiedykolwiek nadarzy się szczęsna pora wypróbowania serc naszych; gdy kiedy podasz nam sposobność, okazania cząsteczki naszej gotowości do poświęceń, spełnisz wówczas najgorętsze nasze życzenia!

Tymon.

O! nie wątpicie drodzy moi przyjaciele, iż bogowie sami postarali się o to, iżbym w przyszłości zapotrzebował waszej pomocy; inaczéj nie bylibyście mymi przyjaciółmi. Dlaczegożbym wybrał was za takich z pomiędzy tysiąca, gdybyście nie stali sercu memu najbliźsi? Powiedziałem sobie o was sam więcej, niżbyście wy skromnie powiedzieć mogli. O bogowie!—zawołałem—nacóżby nam przydali się przyjaciele, gdybyśmy ich nigdy potrzebować nie mieli?! Wszakże w tym razie byliby oni najniepożyteczniejszymi stworzeniami i podobni dwom instrumentom melodyjnym pozamykanym w futerałach, zachowującym dla siebie. Zaiście, nieraz pragnąłem ubóstwa, dla ściślejszego z wami zbliżenia. Stworzeni jesteśmy dla pełnienia dobra, a cóż właściwiej nazwać się godzi „swojém” jeżeli nie majątek naszych przyjaciół? O! cóż to za pocieszająca myśl, że tak wielu na wzór braci, rozrządzać może wzajemnym majątkiem! O rozkoszy wprzód zamierająca, zanimes powstała! Zdaje mi się, że mam oczy łez pełne. Ażeby je zapomnieć, piję za wasze zdrowie!

Apemantus.

Płaczesz na to, ażeby oni pić mogli Tymonie?

Drugi z panów.

I w naszym oku radość się przyjęła, wyskoczywszy wnet ztamtąd płaczącem dziećciem.

Apemantus.

Oh! śmiać mi się chce na wspomnienie, że to dziecię było bękartem.

Trzeci z panów (do Tymona).

Zaprawdę, panie, wrzuciłeś mnie do głębi.

Apemantus.

Gąsiorze!

(Odgłos trąb).

Tymon.

Co znaczą te trąby—co nowego?

(Sługa wchodzi).

Sługa.

Z pozwoleniem Waszój Wielkości, jakieś panie chcą tu wejść.

Tymon.

Panie? czego pragną?

Sługa.

Mają ze sobą gońca, który zawiadomi o ich zamiarach.

Tymon.

Proś, proś.

(Wchodzi Kupido).

Kupido.

Cześć czcigodnemu Tymonowi i wszystkim innym, którzy współuczestniczą w Jego łasce. Pięć zmysłów uznaje cię za swego pana, zbliżając się z powinszowaniem k'twym dostojnym progom. Słuch, smak, powonienie, powstają zadowolone od twego stołu; teraz chcą oko jeszcze twe rozerwać.

Tymon.

Pozdrawiam je serdecznie. Będą przyjęte dobrze. Niechaj muzyka uczci ich wejście.

(Kupido wychodzi).

Pierwszy z panów.

Oto panie, jakżeś od wszystkich kochany!

(*Muzyka. Kupido wraca, maskarada, damy przebrane za amazonki, grają na lutniach i tańczą.*)

Apemantus.

Hola! jakaż piramida próżności stoczyła się tutaj! tańczą! to szalone baby! Takiemże szaleństwem jest blask życia! Szalejemy ażeby się bawić, a rozrzucając pochlebstwa, pijemy z tymi ludźmi, których starość oblejemy kiedyś trucizną wzgardy lub nienawiści. Gdzież żyje taki, któryby nie cierpiał lub nie sprawił cierpień; gdzie umierający, któryby do grobu ze sobą, nie zabrał obelżywej rany z ręki przyjaciela? Bałbym się, ażeby ci co teraz tańczą, nie zdeptali mnie kiedyś. To się już zdarzało. Zwykle bramy zamykają o zachodzie słońca.

(*Goście wstają od stołu, otaczając Tymona wielką cziwą;—dla okazania mu swego przywiązania, bierze każdy amazonkę do tańca; taniec kończy się przy wesolej muzyce.*)

Tymon.

Wy uroczcie panie upiększyłyście naszą ochotę, dodając wdzięku uccie, bez was ani w połowie tak świetnej i przyjemnej. Wyście dodały jej większej wartości i blasku, zachwycając mnie nad własnym pomysłem. Składam wam dzięki za to.

Pierwsza dama.

Ze zbyt pochlebnej strony bierzesz nas panie.

Apemantus.

Niezawodnie, bo najgorsza jest brudną i pewnieby się wzięść nie dała.

Tymon.

Tam was panie oczekuje zakąska, raczcie zasiąść.

Damy.

Tysiączne dzięki.

(*Kupido i damy odchodzą.*)

Tymon.

Flawiuszu... przynieś mi małą skrzynkę.

Flawiusz.

Zaraz, panie. (*na stronie*). Jeszcze brylanty? Nie można go powstrzymać w jego fantazyach... dobrze... lecz gdy wszystko zniknie, chciałby iżbym go był wstrzymywał. Szkoda, że wspa-

niałomyślność nie patrzy poza siebie, gdyż przez to ginie własną winą.

(*Odchodzi i wraca ze skrzynką*).

Pierwszy z panów.

Czy są nasi słudzy?

Sługa.

Tak, panie.

Drugi z panów.

Niech konie zajądą.

Tymon.

Przyjaciele! pozwólcie mi jeszcze słówko. Oto dobry panie, proszę cię zaszczyć mnie przyjęciem tego brylanta: racz go nosić.

Pierwszy.

Już mnie obarczyłeś darami!

Wszyscy.

Nas wszystkich!

(*Sługa wchodzi*).

Drugi sługa.

Senatorowie zsiadają z koni, chcą Waszą Wielkość odwiedzić.

Tymon.

Prosić, prosić.

Flawiusz.

Pozwól Wasza Wielkość jedno słowo, które was bardzo dotyczy.

Tymon.

Mnie? to posłucham kiedyindziej, a teraz nie przeszkadzaj mi w należytem gości przyjęciu.

Flawiusz (na stronie).

Już nie wiem w jaki sposób...

(*Sługa wchodzi*).

Trzeci sługa.

Wielmożny Lucyusz, przysłał Waszój Wielkości w serdecznym upominku, cztery śnieżnej białości rumaki, z uprzężą srebrną.

Tymon.

Przyjmuję z wdzięcznością, postaraj się abyśmy odpowiedzieli godnie. A ten co?

(sługa wchodzi).

Czwarty sługa.

Wielmożny Lucullus chcąc polować jutro w towarzystwie Waszej Wielkości, przysłała dwie sfory psów gończych.

Tymon.

Dziękuję.—Odbierz je i odwzięcz sowicie.

Flawiusz (na str.).

Co nareszcie będzie? ugaszczać mamy i hojnie obdarzać z pustej skrzyni? On nie rachuje nigdy i każe mi zawsze milczyć wtedy, gdy mu chcę serce jego ukazać jako żebraka, nie mającego dosyć środków dla zaspokojenia wszystkich zachceń. Obietnice jego tak dalece przewyższają fortunę, że wszystko co obiecuje, staje się już długiem. Cały jego majątek siedzi u nich w księgach. Obym już ze służby jego dobrowolnie wyszedł, zanim ją będę zmuszony opuścić. Nie lepijże nie karmić przyjaciół, aniżeli otoczonym być przyjaciółmi, gorszymi od nieprzyjaciół. Serce mi się krwawi za mego pana. *(Ochodzi).*

Tymon.

Sami się krzywdzicie, nie ceniąc odpowiednio własnej wartości. Oto drobny dar mojej przyjaźni.

Drugi z panów.

Przyjmuję z wielką wdzięcznością.

Trzeci z panów.

Tymon to wspaniałomyślna dusza!

Tymon.

A teraz przypominam sobie panie, żeś niedawno, bardzo chwalił mego kasztana na którym jeżdżę; gdy więc się podoba, niech do ciebie należy.

Trzeci z panów.

Lecz, panie, przepraszam...

Tymon.

Wierzaj memu słowu przyjacielu, że tylko to godnie chwalić można co się podoba; o uczuciach przyjaciół, sądzę według moich. Odwiedzę was.

Wszyscy.

Któż może być nam miłszym!

Tymon.

Jestem tak wdzięczny za wasze odwiedziny, że nigdy do-
syć dać nie jestem w stanie. Chciałbym mieć dla rozdania mo-
im przyjaciółom królestwa, a nie znużyłbym się nigdy... Alcy-
biadesie jesteś wojownikiem, a przeto rzadko bogatym; należą
ci się dary, bo żyjesz z poległych, a ziemie jakie posiadasz,
znajdują się na polu bitwy.

Alcybiades.

Nieżyzne pole!

Pierwszy z panów.

Nieskończenie zobowiązani!

Tymon.

A ja wam!

Drugi z panów.

Przywiązani do śmierci.

Tymon.

Ja niemniej.— Światła! więcej światła!

Pierwszy z panów.

Niechaj cię nie opuszcza szlachetny Tymonie, najwyższe
szczęście, bogactwa i zaszczyty.

Tymon.

Na usługi przyjaciół. (Alcybiades i panowie odchodzą).

Apemantus.

Co za hałas, ile pokłonów, ile zgieć w karku! Wątpię czy
te nogi warte tyle pieniędzy, ile za nie zapłacono. Przyjaźń
pełną jest szumowin, a kości fałszywe kulebry powinny. Czo-
łbitność rujnuje uczciwego głupca.

Tymon.

No Apemancie, gdybyś nie był tak zaciekły, doświadczył-
byś méj dobroci.

Apemantus.

Nie, nic nie chcę; bo gdybyś mnie przekupił, niktby cię nie
lżył a wtedy grzeszyłbyś jeszcze prędej. Oddajesz tyle Tymo-
nie, że boję się że wkrótce sam się oddasz. Na co te uczyty, po-
pisy, ta próżność?

Tymon.

Jeżeli już towarzyskość lżyć się ośmielasz, to nie chcę
więcej dbać o ciebie. Bądź zdrow, a wracaj w lepszym usposo-
bieniu.

(*Tymon odchodzi*).

Apemantus.

Tak? Nie chcesz mię więcéj słuuchać, nie usłyszysz. Zamknę ci wrota niebios. O człowieku! dlaczego niedorzecznie zamknąłeś ucho dobréj radzie, zamiast pochlebstwom! (*Odchodzi*).

AKT II.

SCENA I.

(Sala w domu jednego z senatorów).

Senator wchodzi z papierami w ręku.

Zadłużył się dopiero na 5000 u Warrona, na 9000 u Izydora, dorachowawszy moje, wyniesie 25000. Jaktó? więc zawsze ta wściekłość wydawania, to trwać nie może. Gdy potrzebuję pieniędzy, dość mi ukraść psa żebrakowi i obdarzyć nim Tymona, pies wybiję mi monetę. Gdy chcę sprzedać konia, i za jego cenę kupić dwadzieścia innych lepszych, dosyć iżbym go oddał Tymonowi nic zań nie żądając, natychmiast koń mój splotzi mi przepyszne rumaki. Nie ma w pałacu jego klucznika, ale jest za to człowiek uśmiechający się do wszystkich, i zapraszający wszystkich przechodniów. To trwać nie może, bo nie można wierzyć w stałość jego fortuny. Hej, Kafis!

(*wchodzi Kafis*).

Kafis.

Jestem panie, czego żądasz?

Senator.

Wdzięj płaszcz i biegnij do Tymona, żądaj natarczywie mych pieniędzy; niech cię nie zraża lekka odmowa, nie daj sobie ust zamknąć odprawą taką: „kłaniaj się twemu panu” przyczém-byś czapkę kręcił w prawém ręku. Powiedz mu, że muszę zapokoić napadających mnie, własnymi środkami. Dnie zwłoki już minęły, a zbytném zaufaniem w jego obietnicę, zrujnowałem sobie kredyt. Kocham i szanuję Tymona, ale nie mogę łamać karku dla wyleczenia jego palca. Potrzebuję być pokrytym zaraz pieniędzmi, a nie kołysanym słówkami. Idź, przybierz mi-nę zgniewaną, twarz wierzyciela, bo obawiam się że wielmożny Tymon, błyszczący teraz jak Fenix, przemieni się wkrótce w mewkę wypierzoną, której piórko każde złączy się ze skrzydłem, do którego należy.

Kafis.

Idę panie.

Senator.

Idź, idź, tylko zabierz rewers i pamiętaj termin upływowy.

Kafis.

Dobrze.

Senator.

Idź.

SCENA II.

Sala u Tymona.

(wchodzi Flawiusz z kilkoma papierami w ręku).

Flawiusz.

Ani go zatrzymać. Szalonym jest tak dalece w wydatkach, że nie chce nawet wiedzieć w jaki sposób wydawać dalej, ani nie chce powstrzymać marnotrawstwa. Nie troszczy się, gdzie to zaprowadzi. Nie, nigdy jeszcze, nie wiązało się razem tyle dobroci z takim szaleństwem! Co czynić? Nie posłucha dopóki nie zaboli, ale będę mówił otwarcie gdy wróci z polowania. Pfe, do diabła!

(wchodzi Kafis i służy Izydora i Warrona).

Kafis.

Cóżto Warronie, przychodzisz po pieniądze?

Sluga Warrona.

A nie toż samo ciebie sprowadza?

Kafis.

Tak, a ciebie Izydorze?

Sluga Izydora.

To samo.

Kafis.

Daj Boże aby nam zapłacono!

Sluga Warrona.

Wątpię.

Kafis.

Oto i pan.

(wchodzi Tymon, Alcybiades, Panowie i t. d.).

Tymon.

Kochany Alcybiadesie zaraz po obiedzie pojedziemy na wieś. Czy ze mną macie do pomówienia? cóż tam?

Kafis.

Panie, tu właśnie notatka pewnego długu...

Tymon.

Długu? Zkąd jesteś?

Kafis.

Z Aten panie.

Tymon.

Idź do mego intendenta.

Kafis.

Przebacz mi panie, ale mnie zwłóczył od miesiąca i to z dnia na dzień. Gwałtowna potrzeba zmusza mego pana do żądania pieniędzy, prosi więc Waszój Wielkości ażebyś ze zwykłą sobie szlachetnością, zadość uczynił jego wymaganiom.

Tymon.

Mój przyjacielu, przyjdź jutro rano, proszę cię.

Kafis.

Lecz panie....

Tymon.

Przestań, przestań.

Sluga Warrona.

Jestem służącym Warrona, panie.

Sluga Izydora.

A ja Izydora, który prosi pokornie o oddanie szybkie.

Kafis.

Gdybyś panie wiedział jak dalece potrzebny jest pan mój...

Sluga Warrona.

Termin upłynął panie, przeszło od sześciu tygodni.

Sluga Izydora.

Intendent odsyła mnie zawsze, a ja mam rozkaz mówienia z samym panem.

Tymon.

Dajcież mi odetchnąć. Proszę was panowie, idźcie naprzód, zaraz powrócę. (*Alcybiades i panowie wychodzą*) (*do Flawiusza*) Chodźno tutaj—cóż się to dzieje, żem nagle obłożony temi wrzaskami i długami, krzywdzącymi mój honor?

Flawiusz.

Panowie, nie jesto czas stosowny do interesów, wstrzymajcie wasz zapal do popołudnia, ażebym tymczasem objaśnić mógł Jego Wielmożność, dlaczegom was nie zapłacił.

Tymon.

Tak przyjaciele, zaczekajcie. A niech was tam ugoszczą.

(Tymon wychodzi).

Flawiusz.

Posłuchaj mnie panie, błagam. *(wychodzi).*

(wchodzi Apemantus i błazen).

Kafis.

Zaczekajcie, oto przychodzi Apemantus z błaznem, pożartujemy sobie z nimi trochę.

Sluga Warrona.

Na szubienicę z nim, będzie nas lżył.

Sluga Izydora.

Niech choroba zadusi tego psa!

Sluga Warrona.

Co porabiasz błaznie?

Apemantus.

Czy ty rozmawiasz z twoim cieniem?

Sluga Warrona.

Nie mówię z tobą.

Apemantus.

Wiem, z samym sobą. *(do błazna)* Pójdź dalej.

Sluga Izydora do Slugi Warrona.

Otóż masz już na karku i błazna.

Apemantus.

Nie, sam stoisz i nie wisisz na nim.

Kafis.

Więc gdzież jest błazen teraz?

Apemantus.

Tam, gdzie zadaje ostatnie pytanie. Nędzne urwisy i fagasy lichwiarzy, faktory złota i nędzy!

Studz.

Czém jesteśmy Apemancie?

Apemantus.

Ośłami.

Dlaczego?

Wszyscy.

Apemantus.

Bo mnie się pytacie czém jesteście, a więc się sami nie znacie. Mów do nich błaźnie.

Blażen.

Jak się macie panowie?

Wszyscy.

Dziękujemy bardzo błaźniel Cóż robi twoja pani?

Blażen.

Wstawia właśnie wodę, ażeby w niej zgotować takie jak wy piskłęta. Chciałbym was ujrzyć w Koryncie.

Apemantus.

Dobrze, dziękuję ci (*wchodzi paż*).

Blażen.

Oto paż mojej panil

(*Paż do błażna*).

No kapitanie, co porabiasz w tak mądrém towarzystwie.— Jak się masz Apemancie?

Apemantus.

Chciałbym mieć w ustach różgę, któraby ci dała skuteczną odpowiedź.

Paż.

Proszę cię, Apemancie, przeczytaj mi adressy tych listów, bo nie wiem do kogo.

Apemantus.

Czytać nie umiesz?

Paż.

Nie.

Apemantus.

No to w dniu, w którym cię powieszają, nie wielka uczoność przepadnie. Ten list do Tymona, tamten do Alcybiadesa. Odejdź, urodziłeś się bękartem a umrzesz faktorem.

Paż.

A ty psem, i zginiesz z głodu jak pies. Nie odpowiadaj, bo mnie już nie ma (*paż odchodzi*).

Apemantus.

To największa dla nas grzeczność. Błaźnie pójdziemy do Tymona.

Blažen.

I zostawisz mię tam?

Apemantus.

Jeżeli Tymon jest w domu. Was trzech służy trzem lichwiarzom?

Sludzy.

Oby z łaski bogów oni nam służyli!

Apemantus.

Chciałbym. Jabym wam posłużył, jak kat złoczyńcy.

Blažen.

Czy wy trzech sługami lichwiarzy?

Wszyscy.

Tak, błaźnie!

Blažen.

Sądzę, że nie ma lichwiarza, któryby nie miał służącego błażnem. Moja pani także jest lichwiarką a ja jęj błażnem, tylko że gdy ktoś pożycza pieniędzy od waszych panów, przychodzi smutny a odchodzi wesoło, tymczasem do mojej pani, przychodzi wesoło a odchodzą smutno. Powiedzcie przyczynę!

Sluga Warrona.

Powiem ci ją.

Apemantus.

Mów więc, ażebyśmy cię poznali jako infamisą, przez co nie stracisz na estymie.

Sluga Warrona.

Cóżto jest infamis, błaźnie?

Blažen.

To sobie błažen dobrze odziany, podobny trochę do ciebie; to duch okazujący się czasem w postaci wielkiego pana, czasem prawnika, czasem filozofa, czasem rycerza; nakoniec duch ten czai się pod wszelkimi postaciami, pod jakimi człowiek od 80 lat do 13 zwykł chodzić.

Sluga Warrona.

Tyś nie zupełnie błažen.

Blażen.

A ty nie zupełnie mądry. O ile ja posiadam błazeństwa, o tyle tobie brak dowcipu.

Apemantus.

Tój odpowiedzi, nie powstydzilby się Apemantus.

Wszyscy.

Z drogi,— nadchodzi wielmożny Tymon!

(*wchodzi Tymon i Flawiusz*).

Apemantus.

Chodź ze mną błażnie.

Blażen.

Nie lubię chodzić za kochankiem, za starszym bratem i za kobietą, lecz czasem za filozofem.

(*Apemantus i błażen odchodzą*).

Flawiusz.

Proszę was odejść. Zaraz z wami pomówię.

(*Słudzy odchodzą*).

Tymon.

Wprawiasz mię w osłupienie. Dlaczegoś wprzód nie obrachował mojego majątku? Byłbym mógł wprzód urządzić gospodarstwo, stosownie do dochodów.

Flawiusz.

Ilekróć mówić chciałem, nie słuchano mię.

Tymon.

Możesz wybrać właśnie chwilę, w której nieusposobiony kazałem ci odejść, a teraz dla niewinnienia się, znajdujesz tę wymówkę.

Flawiusz.

O drogi panie, ileż razy przekładałem ci rachunki, lecz ty odpychałeś je mówiąc: iż ufasz mojej uczciwości. Gdyś rozkazał lichy podarek wielkim odpłacić, potrząsałem głową płacząc; tak, błagałem cię, panie, wychodząc nawet z granic uszanowania, ażebyś rękę szczerniej zamknął. Zniosłem nie jedno surowe łajanie, ilekróć ośmieliłem wskazać ci zmniejszenie fortuny a zwiększenie długów. O drogi panie, dowiedz się, choć to już za późno, lecz powiedzićć muszę, że cały wasz majątek, nie wystarczy ani w połowie na zapłacenie ciężących długów.

Tymon.

Sprzedaj wszystkie moje dobra.

Flawiusz.

Wszystko zastawione. Nie mało przepadło, a to co zostaje, zaledwie zagodzi naglące wierzytelności. Przyszłość pędzi na skrzydłach, a co nas zaraduje tymczasem, i jak nareszcie zakończy się ostatni rachunek?

Tymon.

Dobra moje rozciągały się aż do Lacedemonii.

Flawiusz.

O dobry panie, świat zawarty w jedném tylko słowie: gdyby był waszym. i gdybyś go mógł podarować jedném tchnieniem, jak długobys go zatrzymał?

Tymon.

Masz może słusność.

Flawiusz.

Jeżeli podejrzewasz mój zarząd, honor mój, to pociągnij mnie do odpowiedzialności przed najsurowszych sędziów. Bogowie jednak świadkiem, że gdy przedsiönki, kuchnie i piwnice trzęsły się od natłoku rozpustnej czeredy, gdy sklepienia tryskały z rozlanego przez pijaków wina, i gdy wszystkie komnaty blaskiem świec promieniejąc, muzyką dźwięczały, jam wtedy w samotnym kącie siedział płacząc.

Tymon.

Dosyć, dosyć.

Flawiusz.

Bogowie, wołałem, jakżeż pan ten ludzkil Ileż obfitych **kęsów**, pożarli dziś niewolnicy! Kto nie poddany jest Tymonowi? Czyja głowa, serce, miecz, majątek, nie oddane jemu, temu wielkiemu, szlachetnemu, królewskiemu Tymonowi! Ach! lecz gdy zniknie bogactwo, które kupiło te pochwały, zniknie i oddech, który je wygłosił. *Jeden* dzień zimowy, a muchy te zginą.

Tymon.

Dosyć, nie dawaj mi więcj nauk! Przecież nie splamilem serca mego, haniebném marnotrawstwem. Rozdawałem nieroztropnie lecz szlachetnie. Czegoż płaczesz jeszcze? Czy sądzisz, ty podejrzliwy, że nie znajdę już przyjaciół? Uspokój się! Gdybym chciał napocząć wino miłości, pożyczkę serca wypróbować, mógłbym rozporządzać ludźmi i ich majątkami równie łatwo, jak mogę nakazać tobie abyś mówił.

Flawiusz.

Obyś się nie zawiódł w twój ufności, paniel

Tymon.

A pod pewnym względem, cieszy mnie nawet ten niedostatek, bo mi nadarzy szczęśliwą porę doświadczenia mych przyjaciół. Wtedy uznając błąd twój, ujrzysz jak zamożny jestem w druhów! Hej, jest tam kto? Flaminiusz! Serwiliusz!

(*słudzy wchodzą.*)

Słudzy.

Panie, panie...

Tymon.

Wysłać chcę was, ciebie do Luciusza, do Luculla ciebie: dziś jeszcze z nim polowałem. Ciebie do Semproniusza. Polećcie mnie ich sercu, i powiedzcie iż dumny jestem ze sposobności, przymówienia się u nich o pożyczkę. Żądam 50 talentów.

Flaminiusz.

Do usług, panie.

Flawiusz. (na str.)

Luciusz i Lucullus? hm.

Tymon (do innego sługi).

A ty pędź do senatorów, którzy za przysługi me dla państwa i dla nich, przysłać mi zechcą zaraz tysiąc talentów.

Flawiusz.

Byłem już tak śmiały (pewny będąc że to najłatwiejszy sposób) posłać im twą pieczęć i nazwisko, panie, lecz oni potrzęsnęli głową a jam powrócił nie bogatszy.

Tymon.

Co, co? byćże to może?

Flawiusz.

Jednogłośnie mówią, wszyscy i każdy z nich: „że teraz rozchody mają... że brak gotówki... że nie mogą tak jakby chcieli... że żałują... że pan jesteś zacnym mężem, ale życzyliby... nie wiedzą jakby to... nie wszystko tak się dzieje jak powinno... i szlachetny potknąć się może... dałby Bóg żeby znów wszystko się polepszyło... co za szkoda!” I tak do innych ważnych spraw przechodząc, pogardliwym wzrokiem i temi słów okruciami, półukłonami i suchém potakiwaniem, oziębili mi lodem słowa które wyrzec miałem.

Tymon.

Odwzięccie im to bogowie! Proszę cię drogi, nie martw się. U starych niewdzięczność wkorzeniona, krew u nich zaskrzepła, zaledwo się sączy; sercom ich brak ciepła, nic nie czują, bo w miarę jak człowiek ku ziemi zbliża się z powrotem, staje się jak cel podróży, ciężki i ponury. (do sługi): Idź do Wentydusza. (do Flawiusza): Proszę cię, nie bądź smutny, wierny jesteś i prawy; mówię ci szczerze i z serca: jesteś bez nagany. (do sługi): Dopieroco pogrzebał Wentydusz swego ojca, odziedziczył wielkie skarby; gdy był ubogi, gdy w więzieniu, wyparł się go wszelki przyjaciel, a jam mu dopomógł pięciu talentami. Pozdrów go, zapewne się domyśli że gwałtowna tylko potrzeba, przymusiła jego przyjaciela przypomnieć mu pożyczone 5 talentów; (do Flawiusza) dasz je natarczywym. Precz z myślą, iżby szczęście u przyjaciół rozbić się miało!

Flawiusz.

Chciałbym iżby wspaniałość zwyciężyła me zwątpienie, lecz dobroć tylko ma i najgorszych za dobrych.

(*odchodzi*).

A K T III.

SCENA I.

Sala u Lucullusa.

(FLAMINIUSZ, służący wchodzi).

Sługa.

Pan zaraz przyjdzie!

Flaminiusz.

Dziękuję. (Lucullus wchodzi).

Sługa.

Oto mój pan.

Lucullus (na str.).

Sługa Tymona po mnie przyszedł, pewnie czeka mnie dar. Doskonale, śniła mi się dziś w nocy srebrna miednica i polewaczka (głośno). Czcigodny Flaminiuszu, jakżeś pożądanym! (do sługi) przynieś wina. A cóż porabia najczcigodniejszy, najwyborniejszy, najwspanialszy mąż Aten, władzca ich i pan?

Flaminiusz.

Zdrowie jego dobre.

Lucullus.

Ciesz się mnie, że zdrowie jego dobre. A co tam niesiesz pod płaszczem Flaminiuszu?

Flaminiusz.

Nic, prócz próżnej szkatuły, którą myślę u Waszój Wielkości, napełnić dla mego pana. Zdarzyło się bowiem, że w tej chwili koniecznie potrzebuje 50 talentów, i dla tego posłał mnie do Waszój Wielkości, o gotowości Waszój nie wątpiąc.

Lucullus.

Ba, ba, nie wątpi, powiadasz? ach! zacny mąż! to mi szlachetny człek, gdyby tylko chciał obniżyć skalę swego domu! Często i nieraz obiadując u niego, mówiłem mu to, a jeśli przyszedł na kolacyą, to tylko dlatego, żeby go do oszczędności nakłonić. Lecz on żadnej rady nie słuchał, a moją ustawiczną bytnością nie dał się ostrzedz. Każdy człowiek ma swoje błędy: hojność jest jego błędem. Mówiłem mu to zawsze, ale nadarmo. *(sługa powraca).*

Sługa.

Oto jest wino.

Lucullus.

Flaminiuszu, zawsze cię miałem za rozsądnego chłopca. Piję do ciebie.

Flaminiusz.

Wasza Wielkość żartuje.

Lucullus.

Uważałem w tobie zmysł dostrzegawczy, spryt i giętkość. Tak, ty wiesz co się rozsądkiem zwać może. Ty potrafisz skorzystać z okazji, gdy się nadarzy. Masz niepospolite przymioty. *(do odchodzącego służącego).* Odejdź precz. Zbliź się poczciwy Flaminiuszu; pan twój dobroczynnym jest człowiekiem, ale tyś rozsądnym; wiesz dobrze, choć tu do mnie przychodzisz, że teraz nie pora na wydawanie pieniędzy w darze, dla gołej przyjaźni i bez poręczenia. Weź te trzy sztuki złota, poczciwy chłopcze, przymknij oczy, i powiedz żeś mnie w domu nie zastał. Bądź zdrów.

Flaminiusz.

Byćże może! czyż świat się tak zmienił a my z nim? Niekczemni! Podlił został przy tym, który cię czcił!

(rzuoła pieniądze).

Lucullus.

Ha! ha! no teraz widzę żeś głupiec, akurat dobry dla twego pana.

(Lucullus odchodzi).

Flaminiusz.

Dołącz to złoto do tamtego, które cię kiedyś spali! Bodaj piekłem twoim, stał się metal stopiony, ty zarazo przyjaźni, lecz nie przyjacielu! Czyż przyjaźni udziałem takie serce, co kwaśniej jak mléko w dwóch nocach? O bogowie! przeczuwam gniew mego pana. Ten niewolnik, nosi jeszcze w żołądku ucztę Tymona, miałażby mu posłużyć za zdrowy pokarm, gdy się sam przemienił w truciznę? O bodajby zrodziła chorobę, a gdy już legnie na łożu śmiertelném, bodajby pokarm ten zapłacony przez mego pana, zwiększył boleści i konanie!

(odchodzi).

SCENA II.

Ulica.

(LUCIUSZ z trzema obcymi).

Luciusz.

Kto, Tymon? to mój najlepszy przyjaciel i najzaciejszy mąż.

Pierwszy obcy.

Z téj opinii go téż znamy, jakkolwiek obcymi tu jesteśmy. Ale mogę panu coś powiedzieć na ucho, co jest niemal pogłoską; oto: szczęście Tymona minęło, a bogactwa znikły.

Luciusz.

Nie wierz pan temu, złota nie zbraknie mu nigdy.

Drugi obcy.

Lecz uwierz łaskawy panie, że niedawno temu był sługa jego u Lucullusa, z prośbą o pożyczanie jakiegóś summy, co więcéj prosił natarczywie, wskazując konieczność; lecz odmówiono mu.

Luciusz.

Co?

Drugi.

Tak, odmówiono mu.

Luciusz.

Cóż za postępek! wstydę się go. Odmówić tak godnemu mężowi, okazuje brak poczucia honoru?! Co się mnie tyczy, przyznać się muszę, że otrzymałem od niego kilka pamiątek jakoto: złoto, naczynia srebrne, brylant i tym podobne drobiazgi, nie mogące się równać tym które otrzymali inni; lecz gdyby był Lucullusa pominął a do mnie przysłał, byłbym nie odmówił żądanej summy. (wchodzi Serwiliusz).

Serwiliusz.

Ho, ho, jak to dobrze, toż spotykam zacnego Luciusza, spościłem się szukając pana, szanowny panie.

Luciusz.

Ach! Serwiliuszu, jakżem cię rad ujrzyć; no bądź zdrów, poleć mię przyjaźni twego czcigodnego pana, najdroższego z mych przyjaciół.

Serwiliusz.

Za pozwoleniem wielmożnego pana, pan mój posyła...

Luciusz.

Co posyła? I tak już tyle twemu panu zawdzięczam, a on posyła ciągle; powiedz mi, jakże mu podziękować? A cóż teraz posyła?

Serwiliusz.

Posyła tylko chwilową prośbę, łaskawy panie, o pożyczkę 50 talentów.

Luciliusz.

Wiem dobrze, że Tymon tylko żartuje: on nie potrzebuje 50 talentów, ani 5 razy tyle.

Serwiliusz.

Obecnie przyda mu się mniejsza summa. Gdyby jój tak nagle nie potrzebował, czyżby o nią tak natarczywie prosił?

Luciliusz.

Czy na seryo mówisz Serwiliuszu?

Serwiliusz.

Klnę się na mą duszę panie.

Luciusz.

Jakież ze mnie bydlę, żeby właśnie w takiej chwili, gdy mogę się pokazać jako człowiek *honoru*, pozbyć się pieniędzy!

Jakże nieszczęśliwie się zdarza, że małym zakupem uczynionym dzień przed tém, postradam część mego honoru. Serwiliuszu, wzywam bogów na świadki, że nie jestem w stanie tego uczynić; sam właśnie chciałem pożyczyć u Tymona, niech powiedzą ci panowie. Lecz teraz za wszystkie skarby Aten, nie chciałbym być pożyczyc. Pozdrów serdecznie odemnie twego dobrego pana. Spodziewam się że nie stracę u niego szacunku, dlatego, że nie mogłem go zobowiązać, gdyż powiedz mu, mam to sobie za największe nieszczęście. Kochany Serwiliuszu, będziesz tak łaskaw, powtórzyć moje własne słowa.

Serwiliusz.

Tak panie, będę.

Lucjusz.

A ja wynagrodzę ci to Serwiliuszu. (*Serwiliusz odchodzi*).
Mieliście słuszną panowie, Tymon jest zrujnowany, a kto raz stracił kredyt, już nie pójdzie w górę (*odchodzi*).

Pierwszy obcy.

Uważałeś Hostyliuszu?

Drugi obcy.

Aż nadto.

Pierwszy obcy.

Oto jest duch świata, i z takiego to sukna, zszyty do wci p każdego pochlebcy. Możnaż teraz nazwać przyjacielem tego, który je z nami z jednego półmiska? Tymon, wiem o tém, był ojcem dla niego, workiem Tymona, trzymał się jego kredyt i majątek, pieniędzmi Tymona płacił swoje długi, pił z Tymona srebrnych naczyń, a przecież (o jakże ohydny jest człowiek, gdy się zdradza z niewdzięcznością) to co teraz odmawia, w porównaniu z tém co wziął, jest za ledwie jałmużną, daną żebrakowi.

Drugi obcy.

Religia cierpi na tém.

Pierwszy obcy.

Nie otrzymałem żadnych dobrodziejstw od Tymona, nigdy wspaniałość jego nie zalicza mię do przyjaciół, lecz przysięgam, że jedynie czcąc duszę jego szlachetną i cnotę wielką, oddałbym mu, gdyby żądał, cały mój majątek. Tyle cenię jego serce. Ale niestety ludzie wyrzekli się litości, interes stawiając wyżej sumienia (*odchodzą*).

S C E N A III.

Sala w domu Semproniusza.

SEMPRONIUSZ wchodzi ze sługą Tymona.

Semproniusz.

Dlaczegoż mnie nachodzi przed wszystkimi innymi? Miał przecież Luciusza i Lucullussa, Wentidyusz téż, którego wykupił z więzienia, posiadał teraz skarby: ci trzej winni mu wszystko.

Sługa.

Niestety, wszyscy trzej odmówili.

Semproniusz.

Jakto odmówili? Lucullus odmówił i Wentidyusz, a on się do mnie zwraca? podobny krok zradca z jego strony, brak rozsądku lub małej dla mnie przyjaźni. Czyż ja mam być ostatnią jego ucieczką? Trzech lekarzy zwątpiło o nim, a ja mam wyleczyć? O! bardzo mnie zmartwił, złym na niego, że mnie tak zapoznaje. Nie było powodu ażeby mię poprosić pierwszego, bo sumiennie mówiąc, pierwszy byłem który od niego otrzymałem dary, a teraz tak dalece cofa mnie wgląd, iż mi na ostatku dopięro wierzy? Nie potrzeba więcéj, ażeby się stać pośmiewiskiem całego miasta, i uchodzić za błazna u wielkich panów. Trzy razy tak wielką sumę, dałbym mu był chętnie, gdyby mnie wybrał pierwszego, choćby tylko przez wzgląd na moje delikatne uczucie. Tak dalece pragnęło serce moje, wywzajemnić się przysługą. Lecz teraz odejdz, a do chłodnej odpowiedzi jego przyjaciół, dołącz moją: „ten, kto obraża mój honor, nie ujrzysz moich pieniędzy”.

*(wychodzi).**Sługa.*

Nieporównanie! Wasza Wielkość jesteś wielce pobożnym łotrem. Sam dyabeł nie wiedział czego dokonał, stwarzając człowieka tak chytrym, i w końcu będę musiał uwierzyć, że zbrodniarz najniegodniejszą mądrością wykieruje się na świętego. Jakież wielmożny Semproniusz, cnotliwe czynił wysiłki, aby tylko podłym się pokazać! Pobożnych szuka pozorów aby być bezbożnym, podobien tym, którzy odziani płaszczem gorącego patryotyzmu, całe królestwaby spalili. Taka to jest jego przemądra miłość, a przecież na nim polega pan mój najwięcéj. Wszyscy prócz bogów od niego uciekli, przyjaciele pomarli. Podwoje, które w dniach pomyślnych nie znały zasuwki, zamykać się teraz muszą, ażeby zapewnić bezpieczeństwo swemu panu. Oto

owoce jego szczodroblewości. Kto nie umie chować pieniędzy, chować się musi w domu. (*odchodzi*).

SCENA IV.

Przedsiónek w domu Tymona.

(*Wchodzi dwaj słudzy Warrona i sługa Lucjusza.—Tytus, Hortensyusz i inni słudzy wierzycieli Tymona*).

Sługa Warrona.

Jak się macie Tytusie i Hortensyuszu?

Tytus.

A wy poczciwy Warronie?

Hortensyusz.

Lucyuszu, cóż was tu sprowadza?

Sługa Lucyusza.

Mnie się zdaje, że to samo co wszystkich: pieniądze.

(*wchodzi Filotus*).

Aj Filotus także!

Filotus.

Dzień dobry panom!

Sługa Lucyusza.

Pozdrawiam cię kamracie, jak ci się zdaje, która też godzina?

Filotus.

Niedługo dziewiąta.

Sługa Lucyusza.

Tak późno?

Filotus.

A pana jeszcze nie widać. To mię dziwi, miał zwyczaj błyszczyć już od siódmój rano.

Sługa Lucyusza.

Tak, lecz jego dzień skrócił się teraz znacznie. Bo widzicie przyjaciele, bieg marnotrawcy tak świeci jak bieg słońca, lecz się nie odnawia tak samo. Obawiam się, że w worku Tymona gruba zima, co znaczy że choćbym rękę jak najgłębiej wsadził, nic nie wyciągnę.

Filotus.

Obawiam się także.

Tytus.

A teraz powiem wam ciekawą rzecz, twój pan posyła po pieniądze?

Hortensyusz.

Nie inaczej.

Tytus.

A nosi właśnie brylanty które dał mu Tymon, i za które oczekuje pieniędzy.

Hortensyusz.

To mnie boli.

Tytus.

Nie dziwneż to, że Tymon płaci za to czego nigdy nie miał, to tak samo, jak gdyby twój pan za to że nosi brylanty, kazał sobie Tymonowi zapłacić.

Hortensyusz.

Bogowie świadkiem, jak mi cięży to poselstwo. Wiem, co wziął pan mój gdy Tymon był bogaty, więc niewdzięczność jego kradzieży równa.

Sługa Warrona.

Mnie się należy trzy tysiące koron; a tobie?

Sługa Lucyusza.

Pięć tysięcy.

Pierwszy sługa Warrona.

Wielka to summa, z czego się pokazuje, że pan twój więcej mu ufał niż mój, inaczej wierzytelności byłyby równe.

(*wchodzi Flaminiusz.*)

Tytus.

Oto jeden ze sług Tymona.

Sługa Lucyusza.

Hej Flaminiuszu, słówko! Proszę was czy pan tu przyjdzie?

Flaminiusz.

Nie przyjdzie.

Tytus.

Proszę dać znać jego wielkości, że go tu czekamy.

Flaminiusz.

Nie potrzebuję znać dawać, wie on, żeście aż nadto punktualni.

(wchodzi Flawiusz, zasłonięty płaszczem).

Sluga Lucyusza.

Wszak ten zakryty, to intendent jego, ucieka zasłoniony obłokiem. Wołajcie na niego.

Tytus.

Słyszysz pan?

Sluga Warrona.

Za pozwoleniem pana, oczekujemy tu zapłacenia pewnych summ.

Flawiusz.

Niezawodnie, że gdyby złoto tak pewnym było jak wasze czekanie, tobyście je otrzymali. Czemuż nie przynieśliście wówczas rewersów, gdy wasi fałszywi panowie ucztowali przy Tymona stole? Wówczas pieścili się, nie upominali, uśmiechali, pożerając zgłodzonymi ustami procenta! Z waszą tylko szkodą drażnić mię możecie; dajcie mi przejść spokojnie. Pan mój i ja kończy- my nasz zarząd: on wydawać a ja rachować przestaję.

Sluga Lucyusza.

Ta odpowiedź, do niczego nam nie służy.

Flawiusz.

Jeżeli nie służy, to lepsza od was, bo wy służycie łotrom.
(odchodzi).

Sluga Warrona.

Co tam mruczy ten zbankrutowany panicz?

Tytus.

Co tam o to? dość kary dla niego że goły; komuż śmieliej mówić wolno, jeżeli nie temu, który nie ma domu gdzieby głowę przykrył. Takiemu ujdzie, choć drwi z najpyszniejszych gmachów.

(wchodzi Serwiliusz).

Tytus.

No teraz, otrzymamy przecież jaką odpowiedź.

Serwiliusz.

Jeżeli śmiem was prosić dobrzy panowie, przyjdźcie kiedy- indziej, bardzo wam podziękuję za to, bo wierzę memu słowu,

pan mój nadzwyczaj zmartwiony. Opuściła go myśl wesola,
i chory łoża pilnować musi.

Sluga Lucyusza.

Nie wszyscy co łoża pilnują, chorymi są. Wreszcie im bar-
dziej chory jest, tém prędzej długi swoje zapłacić powinien, aże-
by sobie oczyścić drogę ku niebiosom.

Serwiliusz.

Ha, bogowie!

Tytus.

Tego także za odpowiedź wziąć nie możemy.

Flaminiusz z wewnątrz.

Serwiliuszu przybywaj na pomoc! Panie, panie!

(Tymon wypada w szale wściekłości, za nim Flaminiusz).

Tymon.

Co? drzwi moje przedemną zamknięte? Byłem wolny za-
wsze, a teraz dom mój własny ma być wrogiem, który mnie
więzi! i kaźnią moją! Czy i ta sala poświęcona ucztom, wyszcze-
rza na mnie, równie jak cała rasa ludzka, serce żelazne?

Sluga Lucyusza.

Zaczynaj Tytusie.

Tytus.

Tu panie, jest mój rewers.

Sluga Lucyusza.

I mój!

Hortensyusz.

I mój!

Wszyscy.

I nasz! i nasz!

Tymon.

Więc zamordujcie mię!

Sluga Lucyusza.

Ach panie!

Tymon.

Pokrajcie serce moje na monetę.

Tytus.

Mój rewers na pięćdziesiąt talentów....

Tymon.

Zapłać go sobie krwią moją!

Sluga Lucyusza.

Pięć tysięcy koron panie.

Tymon.

Pięć tysięcy kropel krwi mojej zapłaci. A wy?— a wy?

Sludzy Warrona.

Panie!

Tymon.

Pokrajcie mię na sztuki! A bogowie niechaj was zabiją!
(*wychodzi*).

Hortensyusz.

No teraz widzę ja, że nasi panowie mogą rzucać czapkami za swemi pieniędzmi; bo te długi nazwać można zrozapczonemi, które chyba wściekły zapłaci.

(*Sludzy wychodzą. Tymon i Flawiusz wracają*).

Tymon.

Odetchnąć mi nie dali ci niewolnicy, wierzyście! djabły!

Flawiusz.

Drogi mój panie.

Tymon.

A gbybym tak postąpił?

Flawiusz

Panie, panie mój!

Tymon.

Tak być musi. Flawiuszu!

Flawiusz.

Słucham.

Tymon.

Idź, zaproś znowu przyjaciół: Lucyusza, Lucullusa, Semproniusza: wszystkich. Chcę tych łotrów, raz jeszcze ugościć.

Flawiusz.

O drogi panie! pomieszany twój umysł, radę ci podobną daje. Wszakże nie wystarczyłoby nawet, na najskromniejszą wieczerzę.

Tymon.

Milcz, rozkazuję ci, zaprosz wszystkich. Niech raz jeszcze wedrze się tu ta złoczyńców zgraja. A kucharz mój i ja, postaramy się o przyjęcie.

(*oba odchodzą*).

SCENA V.

Sala senatu.—Senat zgromadzony.

Pierwszy senator.

Panie, wina jego krwawą, ja tak samo głosuję. Musi odpuścić śmiercią, bo nic zbrodni więcej nie ośmiela, jak miłosierdzie.

Drugi senator.

Wielka prawda—niechaj go więc prawo zniszczy!

(*Alcybiades wchodzi z orszakami*).

Alcybiades.

Cześć, pozdrowienie i łaska niech będą z senatem!

Pierwszy senator.

Czego chcesz wodzu?

Alcybiades.

Przychodzę błagać cnoty wasze, bo litość cnotą jest praw, tyrani tylko wykonywają je okrutnie. Kaprys okoliczności i losu, dotknął jednego z moich przyjaciół ognistej krwi, popadł on w występki, którego przepaść niezgłębiona, dla wpadających nieostrożnie. Lecz mąż to, odrzuciwszy błąd ten, obdarzony najpiękniejszymi przymioty; żadna ohyda nie splamiła czynów jego, a sława okupi winę. Tylko w najwyższym uniesieniu szlachetnego oburzenia, widząc dobre imię swoje śmiertelnie skazane, porwał się na wroga. I tak powstrzymał gniew swój szalony, z takim niesłychanym umiarkowaniem, iż zdawało się że walczy jedynie argumentem.

Pierwszy senator.

Podjąłeś się zbyt trudnego paradoksu, chcąc niecny czyn na piękny przerobić. Prawie usiłowałeś kunsztownym twym słowem morderstwo uznać, zawadyactwo niby waleczność wysłać, gdy przecież jest ono poronioną tylko odwagą, nieodstępującą na krok sekt i stronnictw. Prawdziwie odważnym jest ten, który znosi cierpliwie, wszelką obelgę najzłośliwszego wroga, który ją uważa, jak suknię noszoną niedbale, i nie pozwala jej

dotrzeć do serca trująco. Jeżeli krzywda nam wyrządzona, złem jest, popchnąć mogącym do zbrodni, nie szaleństwemże jest, narażać życie swe dla złego?

Alcybiades.

Panie....

Pierwszy senator.

Nie usprawiedliwiz winy tak ciężkiej. Nie nazywa się odwagą zemścić się, ale przecierpieć!

Alcybiades.

Pozwólcie mi odezwać się panowie, i przebaczcie gdyż mówić będę jak żołnierz. Dlaczegoż się ludzie narażają nieroztropnie w bitwach? Dlaczegoż nie znoszą wszystkich obelg? Dlaczegoż, nie pozwolą się zarznąć spokojnie i bez oporu wrogowi? Jeżeli tyle tkwi odwagi w zniesieniu, pocóż wychodzimy na pole bitwy? A więc kobiety pozostałe w domu, od nas odważniejsze? a więc jeżeli rezygnacya zwycięża, to osiół waleczniejszy od lwa, a winny obciążony kajdanami mędrzy od sędziego, gdy mądrość w cierpliwości leży? Sędziowie miejcie tyle litości, ile macie potęgi. Kto nie potępia na zimno, czynu gorącego? Zabójstwo przyznaję, ostatnim jest stopniem złego, lecz zabójstwo we własnej obronie, sprawiedliwem zwać się może. Gniew do największych zaliczyć trzeba grzechów, lecz gdzież jest ten, który się nie gniewał? A teraz według tych okoliczności, sądzicie zbrodnię.

Drugi senator.

Bronisz daremnie!

Alcybiades.

Daremnie? a czyż usługi jego oddane w Lacedemonii i Byzancyum, nie wykupią mu życia?

Pierwszy senator.

Co przez to rozumiesz?

Alcybiades.

Powtarzam iż dzielnie on służył, nie jednego z waszych wrogów ubił na polu bitwy, a jak walczył w ostatniej jeszcze potyczce, to zaświadczać rany, które zadał!

Drugi senator,

Tak, on za wiele ran zadał, ten buntu zaprzysiężony przyjaciel! Natóg który mu rozum zatapia, pęta też jego odwagę. Gdyby innych nie miał wrogów, ten jedenby go pokonał. Widziano go, jak się miotał w zwierzęcej wściekłości, i z rokosza-

nami bratał. I to pewnym jest, że pijaństwo jego, nam niebezpieczeństwem grozi, jemu hańbę niesie.

Pierwszy senator.

Umrze!

Alcybiades.

O srogi losie! dlaczegoż nie legł na wojnie?! Dobrze więc, jeżeli nie kwoli jego czynów, jakkolwiek prawa ręka całkiem od winy zwolniłby go mogła, to dla moich, dajcie się wzruszyć, łącząc czyny te w jedno. A ponieważ wiem, że roztropność wieku waszego poręczeń wymaga, więc daję wam w zastaw, zwycięztwa moje i sławę moją. niech staną za jego wdzięczność! Jeżeli za zbrodnię zadłużył życie swe prawu, niech je odda wojnie, dzielnej potyczce, gdyż prawo surowym jest, lecz surowym prawem: wojna.

Pierwszy senator.

Obstajemy przy prawie—umrze! Nie nalegaj, jeżeli uniknąć chcesz naszego gniewu. Przyjaciel czy brat, gdy przelał krew drugiego, odda swoją prawu.

Alcybiades.

Czyż tak być musi? Nie. Błagam was senatorowie, poznajcie mnie!

Drugi senator.

Co?

Alcybiades.

Przypomnijcie sobie, kim jestem.

Trzeci senator.

Jakto?

Alcybiades.

Zapewne,—zapomniała mnie starość wasza, inaczej stałbym tu tak wzgardzony, tak odepchnięty w niewielkiej łasce, o którą proszę? Rany moje, otwierają się na nowo z boleści.

Pierwszy senator.

Śmiesz drażnić gniew nasz? Słaby on może w słowach, ale silny w czynie: dlatego skazujemy cię na wieczne wygnanie!

Alcybiades.

Ja wygnany? Wygnajcie raczej waszą głupotę, wygnajcie lichwę, którą senat shańbiony!

Piérwszy senator.

Jeżeli po dwóch dniach Ateny cię jeszcze ujrzą, natenczas lękaj się surowości naszego sądu, a iżbyśmy większym nie rozgorzeli gniewem, tamten umrze natychmiast.

(wychodzą).

Alcybiades.

Postarzejcie się i złamcie, iżby od szkieletów waszych, oko odwracało się ze wstrętem. Ha, wściekłość mnie porywa! Jam bił nieprzyjaciela wtedy, gdy oni rachowali pieniądze swego boga, i wypożyczali je na lichwę. Mnie wzbogaciły tylko szesrokie blizny! A jeszcze tak mi płacą za to! Taki to balsam kładziesz lichwiarski senacie, na rany twego wodza? Wygnanie? Nie gniewam się, ja lubię wygnanie, będzie ono słuszną przyczyną mego gniewu, który uderzy w Ateny. Teraz ożywię ducha mych niezadowolonych żołnierzy, i pozyskam ich serca. Tak, chwałę zwie się z mocniejszym walczyć! Wojownicy w tém podobni bogom, że nie powinni znieść obrazy.

(wychodzi).

SCENA VI.

(Tymona świetna sala, stoły poustawiane, służy naokoło.— Tymona przyjaciele, schodzą się z różnych stron).

Piérwszy z panów.

Dzień dobry panu!

Drugi z panów.

A! dzień dobry. Mnie się coś zdaje, że ten godny mąż chciał nas trochę wypróbować.

Piérwszy z panów.

Właśnie gdyśmy się ujrzeli, myślałem to samo. Spodziewam się, że z nim nie tak źle jak udawał, posyłając do przyjaciół.

Drugi z panów.

Dowodzi tego nowa uczta, którą nam daje.

Piérwszy z panów.

Nie inaczej. Posyłał mi natarczywe zaproszenie, chciałem odmówić dla wielu ważnych interesów, ale tak nalegał, że trzeba się było poddać.

Drugi z panów.

Mnie również wstrzymywały nagłące interesa, lecz nie przyjął mojej odmowy. I martwi mnie to, że nie miałem pieniędzy wtedy, gdy przysłał o pożyczkę.

Pierwszy z panów.

Takiż żal uczuвам, zwłaszcza gdy widzę nowy obrót sprawy.

Drugi z panów.

Z każdym co się tu znajduje, było to samo. Wiele on chciał pożyczyć od pana?

Pierwszy z panów.

Tysiąc sztuk złota.

Drugi z panów.

Tysiąc!

Pierwszy z panów.

A od pana?

Trzeci z panów.

Odemnie chciał... ale otóż i on.

(wchodzi Tymon).

Tymon.

Witam was z całego serca, wy szanowni panowie. Jakże się macie?

Pierwszy z panów.

Bardzo dobrze, skoro i Wasza Wielkość ma się nieźle.

Drugi z panów.

Jaskółka nie zdąży radośniej za wiosną, jak my za Waszą Wielkością.

Tymon na stronie.

I nie porzuca spieszniej zimy, jak wy, ludzie podobni tym ptakom! Panowie, nasza wieczerza nie warta tak długiego czekania, lecz napięście tymczasem uszy muzyką, jeżeli odgłos trąb nie razi ich niemile. Zaraz siądziemy do stołu.

Pierwszy z panów.

Mam nadzieję łaskawy panie, że mi nie pamiętasz tego, iż odesłałem sługę z próżnymi rękami?

Tymon.

Ach! godny przyjacielu, niechże cię to nie niepokoi.

Drugi z panów.

Czcigodny panie, chory jestem ze wstydu, że wtedy gdyś do mnie przysłał, żebrakiem prawie byłem.

Tymon.

Proszę nie myśleć o tém.

Drugi z panów.

Gdybyś pan był przysłał, choćby dwie godzinki przedtém...

Tymon.

Niechże to wspomnienie, nie zatruwa panu weselszych myśli. Chodźmy, przynieście wszystko naraz.

Drugi z panów.

Wszystkie półmiski nakryte!

Pierwszy z panów.

Królewska uczta, wierzcie mi.

Trzeci z panów.

Nie wątpię, co tylko złoto i pora roku kupić pozwala.

Pierwszy z panów.

Jakże się pan masz, co słychać?

Trzeci z panów.

Alcybiades wygnany, wiecie?

Pierwszy i trzeci z panów

Alcybiades wygnany?

Trzeci z panów.

Tak, z pewnością.

Pierwszy z panów.

Jakto, za co?

Drugi z panów.

Ehe, za co?

Tymon.

Szanowni przyjaciele, raczcie się zbliżyć.

Trzeci z panów.

Później powiem wam szczegóły, lecz tu czeka nas przepyszny bankiet.

Drugi z panów.

Zawsze ten sam człowiek.

Trzeci z panów.

Ale długoż to potrwa, długo?

Drugi z panów.

Potrwa, lecz przyjdzie czas, że...

Trzeci z panów.

Rozumiem, rozumiem.

Tymon.

Niechaj każdy zajmie swoje miejsce tak chciwie, jak gdyby się dotknąć miał ust kochanki: lubo będziecie zarówno dobrze usłużeni, gdziekolwiek bądź zasiądziecie. Nie róbcie ceremonii, i niech podczas naszej sprzeczki o miejsca, nie wychłodnie jedzenie. Siadajcie, siadajcie. A najprzód złożmy bogom dzięki: „O wy, wielcy dobroczyńcy, natchnijcie moje towarzystwo wdzięcznością. Pozwólcie na złożenie czci za wasze dary, ale zostawcie sobie zawsze w zapasie kilka dobrodziejstw, aby waszą boskością nie wzgardzono. Udzielcie każdemu tyle, iżby żaden nie miał potrzeby pożyczać od drugiego. Gdyby wasze bóstwa zmuszone były pożyczać od ludzi, ludzie porzuciliby bogów. Sprawcie, iżby ucztę więcej polubiono aniżeli tego, który ją wydaje, iżby się nigdy nie zebrało 20 biesiadników, bez równej liczby oszustów. Gdy dwanaście kobiet zasiądzie do stołu, niech tuzin z pomiędzy nich, zostanie tém, czém są. A co do innych waszych darów bogowie!... niechaj senatorowie Aten wraz z szumowinami ludu ateńskiego!... niechaj ich występki staną się narzędziem ich zguby! A tę resztę mych przyjaciół, ponieważ niczem są dla mnie, nie błogosławcie w niczém, i niech nie będą pożądanymi w niczém! Odkryjcie półmiski, a wy psy, nuże liźcie!

(odkrywając półmiski, pełne wrzącej wody).

Kilku z panów.

O kim mówi Jego Wielkość?

Inni z panów.

Nie wiemy.

Tymon.

Obyście nigdy lepszej nie zaznali uczt, ty szajko przyjaciół gęby! Dym i ciepła woda, oto wasz doskonały obraz! A to ostatni dar Tymona, który dotychczas ołożony waszemi pochlebstwami, teraz tak się z nich zmywa, plunawszy wam w twarz własną złośliwością, dymiącą się jeszcze! *(pryska im wodą w twarz)*. Żyćcie długo wzgardzeni, a zawsze uśmiechnięci, przebrzydli pieczeniarze, grzeczni mordercy, uprzejmi wilcy, pieszczące się nie-

dźwiedzie; wy, błazny fortuny, przyjaciele półmiska, dzienne mu-
chy, niewolnicy zgięci w pokłonach, dymy, zmienne chorągiewki!
Oby choroba niszcząca człeka i zwierzę, pokryła was jedną sko-
rupą! Odchodzisz, a więc weź z sobą twoje lekarstwo, i ty tak-
że, i ty (*rzuca za nimi półmiskami, i wypędza ich*). Zostańcie,
nie wezmę od was pieniędzy, lecz wam pożyczę. Jakto? wszy-
scy uciekacie? Niechaj się nigdy nie odbędzie uczta, na którą-
by nikczemników nie sproszono! Pałacu, spłon w popioły! Ate-
ny zapadnijcie się w gruzy! a ty człowieku i ludzkości cała, stań
się przeklętą Tymonowi! (*wybiega*).

(*Goście wracają z senatorami*).

Pierwszy z panów.

No i cóż panowie?

Drugi z panów.

Czy możecie wytłumaczyć wściekłość Tymona?

Trzeci z panów.

Cyt. Nie widzieliście mego nakrycia?

Czwarty z panów.

Zgubiłem odzienie.

Trzeci z panów.

To wariat, rządzący się czystym kaprysem; kiedyś dał mi
brylant a teraz zrzucił mi go z kapelusza. Nie widzieliście me-
go brylantu?

Pierwszy z panów.

Nie widzieliście mego kapelusza?

Drugi z panów.

Jest tu.

Czwarty z panów.

Tu leży mój kapelusz.

Pierwszy z panów

Wynośmy się czempredzój.

Drugi z panów.

Wielmożny Tymon zwaryował!

Trzeci z panów.

Czuję to w kościach.

Czwarty z panów.

Brylanty darował nam wczoraj, a dziś ciska na nas ka-
mieniami (*odchodzą*).

(*Dokończenie nastąpi*).

